



Nina Andrycz (Lukrecja Borgia) w *Cezarze i człowieku Nowaczyńskiego* w T. Polskim w Warszawie (1937). Reż. Aleksander Węgieńko, scen. Zofia Węgieńkowa

z Niną Andrycz rozmawia  
Barbara Osterloff

**Ilekoć czytam wywiady z Panią, odnoszę wrażenie, że są w Pani biografii sprawy i tematy, których tajemnicy pilnie Pani strzeże. Należy do nich choćby dom rodzinny. Może więc dzisiaj, z okazji tak imponującego jubileuszu, zechce Pani powiedzieć o nim słów kilka. Obiecała Pani, że odpowie na każde, no, prawie każde, moje pytanie...**

Kraj lat dziecińczych, o który Pani pyta, powraca do mnie tylko w snach i w wierszach. A to dlatego, że urodziłam się na ob-

szarze „ziem utraconych”. Mówiąc ściśle, na Kresach Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, w Brześciu nad Bugiem, gdzie miałam jedyny w życiu własny dom. To znaczy, z drzewami, z kwiatami, z psami, z kotami, jednym słowem dom, a nie mieszkanie w bloku. Kiedy po latach, jadąc z Warszawy do Moskwy przez Brześć, chciałam wejść do ogrodowej bramy rodzinnego domu, stojący w niej żołnierz brutalnie odepchnął mnie mówiąc „tu nie wolno”. „Nie bądź głupi – odrzekłam – ja się tu urodziłam.” „No to co – huknął żołnierz – a przepustkę



masz?” „Nie mam.” „To nie wejdiesz.” „No, trudno – odpowiedziałam – to powiedz przynajmniej, czy drzewa w ogrodzie ocalały.” „Drzewa? – zdziwił się żołnierz – wyrąbaliśmy. Tam ciężarówki stoją.” Odeszłam w źle oświetloną brzeską ulicę, i szłam poplatakując, przeczuwając, że już nie będę miała własnych jabłoni i róż zaglądających w okno.

**Z tegoż Brześcia nad Bugiem wyruszyła Pani w świat, a ściślej mówiąc do Warszawy, na studia. Proszę powiedzieć, która ze szkół – gimnazjum brzeskie, uniwersytet czy też Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej – najmocniej Panią ukształtowała, najbardziej liczy się w Pani życiu?**

Skończyłam gimnazjum humanistyczne koedukacyjne, na szczęście jeszcze z łaciną, w Brześciu. Mam kilka zdanych egzaminów na Uniwersytecie Warszawskim, a mianowicie: z psychologii u Władysława Witwickiego, którego imieniem są teraz nazywane ulice, filozofię u Tatariewiczza, którego asystentem był Bolesław Miciński, mój brat cioteczny (wybitny krytyk, eseista i nowelista); wreszcie ukończyłam wspomniany już PIST pod dyktando jeszcze młodego, jeszcze pełnego energii i bardzo wielkich wymagań Dyrektora Aleksandra Zelwerowicza. Oczywiście, że ta ostatnia uczelnia najbardziej ukształtowała mnie na życie, które sobie wybrałam. Wybór był całkowicie świadomy i dlatego rozstałam się z uniwersytetem pomimo celujących stopni. Nigdy tego wyboru nie żałowałam, w żadnych okolicznościach życiowych czy historycznych.

Niepowtarzalny klimat ówczesnego PIST-u opisałam dokładnie i bardzo szczerze w swojej książce *My, rozdwojeni*, więc nie chcę już do tego wracać. Pragnę tylko podkreślić fakt, że moimi wykładowcami byli prawdziwi mistrzowie sceny polskiej: obok Zelwera Leon Schiller, Aleksander Węgrzyniecki, Stefan Jaracz, Zbigniew Ziemiński, Stanisław Stanisławski i pani Jadwiga Turowicz, jako dobry duch szkoły fantastyczna. Przez jakiś czas taniec wykładała Ruth Sorel, a następnie Pola Nireńska, późniejsza żona Jana Karskiego. Myślę, że to wystarczy.

**A co Pani uważa za swój prawdziwy debiut? Pytam o to, ponieważ jest w Pani biografii artystycznej tajemniczy i pomijany na ogół w wywiadach i artykułach okres wileński. Tymczasem w Teatrze Miejskim na Pohulance zagrała Pani przecież m.in. Ofelię w *Hamlecie* w reżyserii dyrektora Szpakiewiczza. Zaś Mieczysław Limanowski tak oto pochwalił Panią na łamach wileńskiego *Słowa*: „Widać było, że panna Nina wypracowała sobie rolę [...] Była bardzo dyskretną, przez to właśnie świetną w swoim obłędzie, ani nie szarżowanym, ani zbyt wielu kropkami nad i obdarzonym. Pod koniec była nawet wprost niezwykła, kiedy już była sama ze swymi myślami, które cichutko w niej jak ćmy nad Oentę (sic) latały”. Wyjaśniam od razu, że owa tajemnicza „oenthera” to roślina zwana wiesiołkiem, jak podaje nieoceniona, przedwojenna encyklopedia Wydawnic-**



Fot. Franciszek Myszkowski

Nina Andrycz (Św. Joanna) w *Świętej Joannie* Shawa w T. Polskim w Warszawie (1955). Reż. Bohdan Korzeniewski, scen. Teresa Roszkowska

**twą Gutenberga. „Liman” lubił takie niecodzienne skojarzenia.**

Chronologicznie debiutowałam rolą księżniczki Salome Wilde’a na końcowym egzaminie PIST-u, po którym w ciągu pięciu minut dyrektor Arnold Szyfman złożył mi szacowną propozycję *engagement* do Teatru Polskiego w Warszawie. Nie muszę dodawać, czym był wówczas ten teatr. Uprosiłam, aby mnie wypuścił na parę miesięcy do Wilna ze względu na zawikłaną sprawę sercową... Szyfman, o dziwo, zgodził się, czym zobowiązał mnie na całe dalsze życie, i w roku 1935 na jesieni odbył się mój prawdziwy debiut w *Królu Learze* Szekspira (inscenizacja i reżyseria Leon Schiller), w którym miałam zaszczyt partnerować Józefowi Węgrzynowi, najpiękniejszemu głosowi sceny polskiej. Następną rolę zagrałam też u Schillera, w najlepszej inscenizacji *Kordiana*; zaczęłam od roli Stracha, ale wkrótce awansowałam do Violetty. Przy tej okazji odpowiadam na Pani prywatne pytanie, czy Szyfman mądrze się mną opiekował? On

mnie obsadzał. Od samego początku mojej kariery i kierownictwo teatru, i wybitni reżyserzy najczęściej i najchętniej obsadzali mnie w repertuarze klasycznym. Uważam to za szczęśliwy traf.

Bo, po pierwsze, godzi się to z moim samopoczuciem aktorskim, a po drugie w całym współczesnym repertuarze nie ma postaci kobiecej, która mogłaby się mierzyć z Kleopatrą, Marią Stuart czy Lady Makbet. Pedagogzy tej klasy, z jakimi się wtedy miało do czynienia, na ogół nie mylili się w obsadach. Sugestia Karola Irzykowskiego, żem stworzona do wielkich, szekspirowskich tragedii, zgodna zresztą z opinią Tadeusza Boya-Żeleńskiego i wielu innych, mogła pomóc przy wyborze dla mnie ról, ale przecież nie była siłą decydującą. Tak więc począwszy od włożenia diadem na głowę królowy Regany zaczęłam nosić korony w różnych koniunkturach historycznych i politycznych, nie wyłączając okresu socrealizmu, w czasie którego przez 250 wieczorów grałam współrządzającą księstwem niemieckim Lady Milford. Tak, z dnia na dzień, urodziła się w tym teatrze moja „królewska legenda”, bez żadnych ingerencji czy zabiegów z mojej strony. I nie owijając w bawełnę faktu, że wszystkie moje królowe dawały dochód. Zawistnicy uważali, że być może ówczesny premier cieszy się z moich koron... Otóż wprost przeciwnie. Premier wcale nie marzył o koronach, tylko o dziecku ze mną.

**Zdaje się, że Pani o macierzyństwie nie marzyła, co więcej, miała odwagę przyznawać się do tego publicznie... Podkreślała Pani, że rodzi role, że to są Pani dzieci, zaś teatr wymaga całkowitego oddania się – i tylko taki stosunek do zawodu aktorskiego Pani aprobuje. Zmierzyć może jednak temat na bardziej bezpieczny. Aktorskie, królewskie emploi przysporzyło Pani wiele chwały, ale zarazem, z czasem, musiało stać się ciężarem. Jednak udało się Pani od niego uciec. Proszę powiedzieć, co o tym zadecydowało, chyba nie przypadek, może więc jakaś dyrektorska lub reżyserska decyzja?**

To ja sama, osiągnąwszy lat południe, zdecydowałam się radykalnie zmienić swoje emploi. Był to wtedy skok z wysoka i bez siatki ochronnej gdyż Maria Stuart a Anielcia Dulska to nie są różne rodzaje, to są inne planety. Mogłam sobie złamać kark, mogłam się ośmieszyć. Ale odwaga popłaca. Grałam Dulską dłużej od pani Ćwiklińskiej, jeździłam z nią na występy gościnne i podratowałam finansowo Teatr Polski. Dzięki tej radykalnej zmianie emploi mogłam się stać aktorką kilku pokoleń: publiczności międzywojennej, peerelowskiej oraz III Rzeczypospolitej. Udało mi się przekonać w swoim czasie dziadków, potem ich synów, a obecnie wnuków. Moi wielbicieli oraz kibice nieraz zmuszali mnie do zwierzeń, jak grać heroiny romantyczne.

**Odpowiadała Pani tak, cytuję: „Otóż heroina romantyczna, a zwłaszcza polska, jest to taka istota ludzka, która do końca wierzy, że w niebie jest Bóg, a na ziemi**

**dzieci Boga muszą i c h c ą służyć wypełnianiu Jego praw, znanych z grubsza pod nazwą idei. A więc są wierne na przykład idei wolnej i dla wszystkich sprawiedliwej ojczyzny albo idei mądrości tłumaczącej zagadki bytu, albo idei piękna moralnego, które jest najwyższym celem w sztuce. Dama romantyczna (nie płać z romansową) stawia na pierwszym miejscu hierarchię wartości ludzkich, na drugim swoją misję w społeczeństwie, a dopiero później – sprawy swojej kobiecości”.**

Tak, heroinom dramatycznym zawsze o coś chodzi.

**A kobiety słabe? Zdaje się, że ich Pani nie grała, jakby nie miała dla nich cienia sympatii czy zrozumienia.**

Nie grałam nigdy. One działają mi na nerwy. Kobieta-luszczyk, kobieta-echo, kobieta-gluptas. Stąd sławny sło-



Nina Andrycz (Lady Milford) w *Intrydze i miłości* Schillera w T. Polskim w Warszawie (1969). Reż. Wanda Laskowska, scen. Otto Axer

gan „kobiety umierają w kuchni”, ostatnio cytowany w *Twoim Stylu*.

Mam natomiast pewną tęsknotę, że za mało grałam komedii. Zwłaszcza reżyserowanych przez majstrów, jak na przykład Konrad Swinarski. Myślę o roli Dian de Belflor w *Psie ogrodniczka de Vegi*; wersja telewizyjna tego przedstawienia, ze świetnym Stanisławem Zaczkiem, została przeniesiona na scenę Teatru Polskiego z Igorem Przegrodzkim. Grana była na niezliczone sylwestrowe przedstawienia. Osobny rozdział w moim życiu stanowią role zagrane dla Teatru Telewizji, z Hanuszkiewiczem, Gruzą, Antczakiem i René, gdzie ani razu nie włożyłam korony na głowę, natomiast broniłam prawa do wielkiej miłości (które to role kochałam, grając inaczej niż na dużej scenie, upraszczając fakturę roli, a nawet sposób bycia). Anna Karenina i madame Bovary... Jestem czterokrotną laureatką nagrody publiczności, tj. Srebrnej Maski. Tak, grałam heroiny dramatyczne i heroiny romantyczne, a potem broniłam się przed „szufladką”, jak mogłam. Po zagraniu heroin romantycznych w Teatrze TV szczęśliwie uciekłam od tej „szufladki”. Nigdy nie bałam się eksperymentować.

**Dla mnie takim aktem odwagi była rola Starej, zagrana przez Panią niedawno w *Krzyszlach* Ionesco. Dziwiono się nawet – Nina Andrycz i klasyka awangardy? Tymczasem okazało się, że poszukiwała Pani w tej postaci cech najbardziej ludzkich i, by tak rzec, najprostszych.**

Zagrałam żonę nieudacznika, z którego ona na siłę robi geniusza. I to właśnie tak poruszyło publiczność podczas występów w Ameryce. Kobiety szlochając pytały mnie po przedstawieniu: „To jeszcze tak można kochać?”. *Krzyszta* grałam pięć lat temu, na mój nieoficjalny jubileusz 60-lecia pracy scenicznej. Reżyserował Maciej Prus, partnerował Ignacy Gogolewski. Graliśmy to po raz pierwszy w Polsce sto razy.

**A teraz mamy, już całkiem oficjalnie, wielki jubileusz Pani 65-lecia pod patronatem Pana Prezydenta. Jubileusz odbędzie się dzięki hojności firmy Siemens.**

Tę hojność chciałabym podkreślić. Liczy się ona specjalnie dzisiaj, kiedy z pieniędzmi na teatr jest tak krucho, coraz trudniej. Sztuka, w której występuję, nazywa się *Lustro*, tytuł dobry, bo krótki, a napisało ją dwoje autorów, Andrzej Kondratiuk i ja. Oczywiście, stylistycznie rzecz jest ujednoliconą. Zaczyna się od mojej prozy i akt pierwszy nosi tytuł *Wakacje z diabłem*. Drugi akt, Kondratiuka, nazywa się *Lustro królowej*. Treści nie mogę opowiedzieć, bo przecież chcę, żeby ludzie na to przyszli.

Jest jednak, już w samym tytule pewna sugestia, czy raczej zapowiedź autobiograficznej konfrontacji sztuki i życia.

Słusznie Pani podejrzewa, że jest to rodzaj spowiedzi z bycia aktorką, nieuniknionych meandrów kariery, wielkiej miłości i przelotnych flirtów, pokus w kierunku zła i zwycięstwa. Reżyseruje wrażliwy i utalentowany Tomasz Zygałło, bardzo proste

dekoracje i kostiumy robi moja przyjaciółka Xymena Zaniewska. Jan Tesarz gra główną rolę męską, występuje jako biznesmen, kelner i recepcjonista, jako że w istocie jest diabłem i z łatwością zmienia twarz. Jest to, powiem nieskromnie, chyba bardzo ładnie napisane, ale mało jest efektów czysto akcyjnych – to koronka.

**Proszę na koniec naszej rozmowy przyjąć najserdeczniejsze życzenia jubileuszowe od zespołu redakcyjnego Teatru. Ad multos annos !**

Warszawa, 7 września 2000 roku.

Fot. Stefan Okołowicz



Nina Andrycz (Stara) w *Krzyszlach* Ionesco w T. Polskim w Warszawie (1995). Reż. Maciej Prus, scen. Zofia de Ines